

To nie pierwszy taki późny debiut w teatrze jednego aktora. Wprawdzie Anna Seniuk już wcześniej koncertowała jednoosobowo (lektury wierszy), ale to jednak nie to samo.

Tomasz Miłkowski
Krytyk



Na scenę jednoosobową aktorzy wkraczą bardzo wcześnie, zaraz po debiucie (czasem to ich debiut), albo bardzo późno. Wtedy wahają się i mnożą wątpliwości, jak Jerzy Trela, który zadebiutował na scenie jednoosobowej „Wielkim kazaniem księdza Bernarda” wg Leszka Kołakowskiego dopiero wtedy, kiedy przyjaciele przekonali go, że ma już za sobą sporo monodramów scenicznych, czyli wielkich monologów romantycznych i postromantycznych.

Anna Seniuk zmierzyła się z tekstem specjalnie napisanym dla jednej aktorki i stworzyła we współpracy z reżyserem Grzegorzem Małeckim (prywatnie jej synem) spektakl dramatyczny, ze swoim rytmem, miejscami skupienia, wstrzymania oddechu i kumulacji napięć. Powstało przedstawienie przejmujące, choć na pozór bardzo skromne.

Właściwie niby nic się tu nie dzieje – aktorka prawie cały czas siedzi w fotelu, popija herbatkę, czasem zrobi kilka kroków i to wszystko. Aby wspomóc jej wysiłki i podnieść temperaturę opowieści reżyser zadbał o sugestywne ilustracje wideo, przywołujące czasy Niemiec przed zdobyciem i po zdobyciu władzy przez Hitlera. Momentem kulminacyjnym jest podburzające przemówienie Goebbelsa, który podrywa Niemców do udziału w bezprzykładnych zbrodniach, nazywanych wzniosłe misją i – nomen omen – wstawaniem z kolan.

Bohaterka monodramu, Brunhilde Pomsel

wspomina dobre czasy przedwojennych Niemiec, czas zabaw i początków zawodowej kariery z upływu perspektywy wielu lat, kiedy jako 102-letnia staruszka dochodzi kresu swego życia w domu spokojnej starości. Kobieta, która dzięki swym talentom stenotypistki dochodzi do pozycji sekretarki Goebbelsa nie odczuwa żadnej odpowiedzialności, czy choćby śladu współodpowiedzialności za zbrodnie niemieckie, właściwie całkowicie rozdziela działanie aparatu przemocy i zbrodni od jej sumiennego wykonywania obowiązków za więcej niż godziwą zapłatą i odgranicza od miłych wspomnień ze wspólnych zabaw i spotkań. To były po prostu piękne dni.

Wspomnienia pogodnej stenotypistki Goebbelsa



Christopher Hampton

ceniony scenarzysta i dramaturg, dwukrotny laureat Oscara, przypadkiem (dopiero w roku 2016, na rok przed jej śmiercią) natknął się na historię pani Pomsel i od razu nieomylnie dostrzegł w niej mocny materiał dramaturgiczny. Obejrzał austriacki film dokumentalny jej poświęcony i przesłuchał 30 godzin nagrań z sekretarką ministra propagandy Goebbelsa. Po przejrzeniu tego materiału postanowił nadać projektowanemu monodramowi uogólniający tytuł – sztuka miała się nazywać „German Life”. W polskim tłumaczeniu ten tytuł uległ złagodzeniu, choć oryginalny tytuł Hamptona był nieporównanie lepszy – miał siłę tytułu pamiętnego dramatu Leona Kruczkowskiego „Niemcy” – autor dotykał bowiem w swoim monodramie prawdy o niemieckim życiu w latach wojny, prawdy o zwykłych ludziach, dalekich (na pozór) od świata polityki i namiętności fanatycznych ideologów, a jednak w ten wir historii wciągniętych i wcale nie takich bezgrzesznych, jak się im wydawało.

A za niewinną uważa się przecież Brunhilde Pomsel. Co więcej, nie poczuwa się do żadnej winy czy choćby współwiny za Holocaust (to słowo zresztą nie padnie z jej ust). Może – zgodnie z metrykalną prawdą – wykazać, że osobiście nie odczuwała żadnej niechęci wobec Żydów, z gruntu obcy był jej antysemityzm. Jej ojciec miał przecież wielu klientów wśród bogatych Żydów berliń-

skich, ona sama zaś rozpoczynała swoją karierę zawodową od pracy u żydowskiego biznesmena, a jej najbliższa przyjaciółka była Żydówką, która odwiedzała ją nawet wtedy, kiedy pracowała w radiu i już była na usługach nazistów.

Oto klasyczny przykład wyparcia

śladów wszelkiej odpowiedzialności za zbrodnie III Rzeszy i przetrucenia winy na innych. Ona tylko żyła, jak tyłu innych, a czasem jedynie ulegała zaniepokojeniu, że niektórzy spośród jej znajomych znikają. Może najbardziej przejęła ją noc kryształowa, ze względu na swoją skalę, ale to w jej oczach był tylko incydent, po którym życie wróciło na dobre tory. Nawet krótki przymusowy pobyt w Buchenwaldzie, gdzie po wojnie osadzili ją Rosjanie, i uwięzienie przez służby sowieckie jako byłej pracownicy jednego z głównych urzędów III Rzeszy nie wywołało w niej żadnych głębszych refleksji. Pozostała w swoim najgłębszym przekonaniu niewinna etycznie rozgrzeszona, z dała od wszelkich podejrzeń, że ludzie tacy jak ona, czyli porządni Niemcy ponoszą jakąkolwiek odpowiedzialność za zbrodnie przeszłości.

Wprawdzie przez moment, jakby przez nieuwagę, przyjdzie jej na myśl, że może nie tyle Niemcy nie wiedzieli o zbrodniach nazizmu, ile nie chcieli wiedzieć, że to może ona nie chciała wiedzieć, co się dzieje, bo tak było o wiele wygodniej żyć,

ale to tylko przelotna wątpliwość. Zapyta przecież zaraz swoich słuchaczy, nas – widzów w teatrze: „a co wy byście zrobili na moim miejscu? Czy zaryzykowałibyscie wszystko, aby uratować życie jednej czy drugiej Żydówce?”. A przy tym, jak powie o swojej najbliższej przyjaciółce Żydówce, jak można było jej pomagać, skoro była taka rozrzutna i paliła papierosy. Rozważała nawet w gronie bliskich sobie osób, jak by jej pomóc, i wszyscy zgodnie uznali, że nic nie da się zrobić. No i tyle właśnie robiła, aby przeszkodzić w wysłaniu jej do Auschwitz.

Siłą monodramu

Anny Seniuk jest niewzruszana pewnością pani Brunhilde Pomsel, że przeżyła dobre życie, choć nie udało się jej założyć własnej rodziny. Ale teraz, choć jest już tak bardzo stara, też nie jest wcale źle, skoro może sobie z nami miło pogawędzić. Ukryty haczyk, na który łowi nas Christopher Hampton tkwi właśnie w „miłej” gawędzie. Seniuk potrafi gawędzić, chwilami nawet uwodzicielsko, a przecież mówi rzeczy straszne i trudno pojąć, z jaką zwyczajnością i obojętnością to czyni, jakby to jej wcale nie dotyczyło albo to nie ona była świadkiem czy uczestniczką zdarzeń, które tak chętnie wspomina. Grzegorz Małecki, może trochę z obawy przed magnetyczną siłą tego gawędziarskiego haczyka Anny Seniuk, wplótł w jej opowieść wyświe-

tlane na ekranie obrazki z czasów III Rzeszy, przerażające fotografie z obozów zagłady, pamiątkowe zdjęcia z ulicznych zabaw, eleganckich fajfów i zawodów sportowych, w tym z imponującej Olimpiady w Berlinie. Pokazał te wyimki z życia wyjęte, żeby pamiętać, jak to było naprawdę, nawet jeśli pogodna i pogodzona ze swoim losem staruszka wymazała te sceny z pamięci.

Powstał spektakl o potęgę oportunisty,

o uwodzicielskiej pokusie „pływania z prądem”, nawet jeśli prąd prowadzi na manowce. Siłą rzeczy oglądany i słuchany wyurzeń pani Pomsel tu i teraz, w czasach toczonej się u naszych granic wojny – monodram o życiu pani Pomsel kieruje nasz a uwagę nie tylko jako sonda penetrująca przeszłość, ale również sonda skierowana w przyszłość.

Dzisiaj także społeczeństwa przyglądają się wojnie i przemocy z bezpiecznej odległości, a Rosjanie mają przed sobą wybór drogi bliski „zwyczajnej Niemce”, pani Pomsel, która nie chciała wiedzieć, choć mogła. Wprawdzie świat nauczył się dzisiaj informować o wiele bardziej gorliwie

i natrętnie, o tym, co się dzieje, niż potrafił to czynić przed kilkudziesięciu laty, ale wciąż lęgnie się pokusa nieprzyjmowania informacji do wiadomości, jeśli zakłócają one uporządkowany obraz świata.

Anna Seniuk, unikając tanich aluzji, dotyka więc nie tylko historii, przeszłości i nierozliczonych zaniechań, ale zagląda do naszych głów, pytając, jak dzisiaj sobie poradzimy z natłokiem wiedzy o okrucieństwie wojny, która szaleje prawie w naszym domu, tuż za progiem.●

Oto klasyczny przykład wyparcia śladów wszelkiej odpowiedzialności za zbrodnie III Rzeszy i przetrucenia winy na innych.

